

Mateusz Matyszkowicz: Niedokonany czas Broków Wildsteina

Czas niedokonany i historia bohaterów tej książki powinny nas utwierdzić w przekonaniu, że katastrofa nie ma mocy twórczej i nie może być źródłem tożsamości. I nie chodzi tu wcale o zniszczenie materialne. Nie chodzi także o śmierć. Najważniejsza katastrofa, o której pisze Bronisław Wildstein, rozgrywa się na planie duchowym i moralnym – pisał Mateusz Matyszkowicz w recenzji książki wkrótce po jej debiucie. Przypominamy ten tekst w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Wildstein. Pisarz świata nieprzedstawionego.

Napisać o kilku pokoleniach – od potomków ofiary pogromu z początków XX wieku, przez budowanie i upadanie PRL, po III RP – takiego zadania podjął się Bronisław Wildstein. Jego książka nie jest ani opracowaniem historycznym, ani świadectwem. Jej głównym tematem pozostaje, od pierwszej do ostatniej strony, natura człowieka.

Jarosław Iwaszkiewicz, który sam uważał się za człowieka XIX wieku i na sposób dziewiętnastowieczny pisał, nie zapisał się w historii jako powieściopisarz. Choć *Sława i chwała*, a pewnym stopniu też *Czerwone tarcze* znalazły i swoich czytelników, i ważne miejsce w historii literatury, to jednak Iwaszkiewicz został zapamiętany i doceniony przede wszystkim jako autor dłuższych opowiadań. A więc nie wielka dziewiętnastowieczna powieść, ale mini-powieść, świadectwo czasów.

Wszelako *Sława i chwała*, ta próba syntezy doświadczeń kilku pokoleń spisana w czasach wyjątkowo temu nie sprzyjających powinna być właściwym punktem odniesienia w czasie lektury *Czasu niedokonanego*, najnowszej powieści Bronisława Wildsteina, która swoją formą i okazałością nawiązuje do wielkiej tradycji literatury sprzed ponad wieku. Tu wcale nie chodzi o żadną mieszczańską sagę w stylu Tomasza Manna, bo jeśli forma, także ta literacka, musi odpowiadać życiu i z niego wyrastać, to mieszczańska saga w żaden sposób nie pasuje do polskich losów.

Te losy potrzebują formy zupełnie innej, takiej, która będzie zdolna uchwycić konwulsje historii, jej nagłe zwroty i przede wszystkim nieoczywiste wybory, przed którymi stają bohaterowie. Proza Mannowska jest w stanie opisać dojrzewanie zjawisk, załóżki nowych duchowych fenomenów, które mają swoje źródło w nieodległej przeszłości i wreszcie w duchowym wzrastaniu jednostek. Prawdopodobnie jednak Mann byłby bezbronny wobec polskiej historii.

Jeśli chodzi o polską historię i kulturę, to trudno tu mówić o stałości miejsca. Nie będzie tu ani Lubeki, ani Berghofu. Nawet, jeśli większa część historii znajdzie swoje miejsce w Warszawie, to będzie to Warszawa inna w każdym czasie, jakby zupełnie nowe miasto. Postacie nie wchodzą w głąb siebie i nie poszukują tam odpowiedzi – to odpowiedź sama z nich się uwalnia, ujawnia się w czasie awantur i nocnych krzyków. Kim byliby zatem Buddenbrookowie pozbawieni stałych punktów odniesienia? Byliby zapewne Brokami – bohaterami *Czasu niedokonanego*.

Brokowie tu Buddenbrookowie po historycznej amputacji, oddaleni od swojej przeszłości nie przez długą ewolucję, nie przez wiele znaków czasu, które mógłby uchwycić Mann, ale przez czyn gwałtowny, przez mord założycielski. Brutalne zabicie Barucha Broka jest tym punktem historii, który dla Manna byłby założeniem rodzinnej firmy.

Początkiem tej historii nie jest zatem założenie rodziny w klasycznym mieszczańskim sensie, nie jest zrobienie majątku, ale rewolucyjna zawierucha poprzedzona jakimś trudnym do zrozumienia wybuchem zła między ludźmi. Protoplaści nie tyle tworzyli kulturę, co ją niszczyli.

Ta historia zaczyna się zatem od wybuchu i katastrofy. I wcale nie jest to twórcza katastrofa. Nawet jeśli bohaterom na początku wydaje się, że biorą udział w powstawaniu nowego, lepszego świata, nawet jeśli się łudzą, że rewolucja przyniesie coś wspanialszego, to te złudzenia szybko się kończą. A nawet w tym czasie wiary, trudno mówić o wiedzy radosnej, o szczęśliwym dążeniu do upragnionego celu. Rewolucje robią ludzię głęboko zranieni wewnątrz, o koślawych życiorysach, dzieci chorej epoki. Często sami pokrzywdzeni niosą krzywdę innym.

Czas niedokonany i historia bohaterów książki powinny nas utwierdzić w przekonaniu, że katastrofa nie ma mocy twórczej i nie może być źródłem tożsamości. I nie chodzi tu wcale o zniszczenie materialne. Nie chodzi także o śmierć. Najważniejsza katastrofa, o której pisze Bronisław Wildstein, rozgrywa się na planie duchowym i moralnym. Upadek porządku duchowego i moralnego, tego wszystkiego, co reprezentował stary świat i co wzięli na cel

rewolucjoniści, zamiast uwolnienia od zła społecznego, przynosi jeszcze większe zniewolenie i uwikłanie człowieka w zło – zarówno to indywidualne, jak i zbiorowe.

W całej powieści widać wyraźnie ten podwójny plan. Obserwujemy zarówno moralny upadek czasów, w których przychodzi żyć bohaterom, jak i etyczną biedę poszczególnych postaci. Te dwa plany przeplatają się, indywidualne losy wchodzą w interakcję i ostatecznie otrzymujemy historię, która powinna zaskoczyć kogoś, kto wcześniej znał tylko powierzchownie publicystykę autora.

W jednym z ostatnich numerów „W Drodze” można znaleźć wywiad Jana Grzegorzycy z Bronisławem Wildsteinem. To, co w nim najciekawsze, to próba pokazania różnic między autorem-publicystą i autorem-pisarzem. Tekst publicystyczny jest krótki i oparty na jednoznacznej tezie, mówi tam Wildstein i przyznaje, że sam ma poczucie niejednoznaczności świata oraz że to poczucie można najlepiej zrealizować w powieści. Czuje się przede wszystkim pisarzem.

I tak sobie myślę, że jeśli ktoś próbuje oceniać powieści Bronisława Wildsteina przez pryzmat jego publicystyki, to jest na złej drodze. Właściwa perspektywa jest odwrotna. To czytając publicystykę, trzeba pamiętać, jaka wizja świata jest za nią ukryta i próbuje się przebić przez gazetową formę. Żeby zaś tę wizję zrozumieć, trzeba czytać literaturę.

(Zresztą literaturę zawsze przedkładać należy ponad gazetę. Każde zastosowanie schematu argumentacyjnego, z którym ma się do czynienia w tekście publicystycznym, musi wspierać się na wizji, na tym, co poza

argumentacją i co jest przedstawieniem świata – tym, co się raczej widzi i opisuje, a dopiero potem przychodzi rozumienie, usprawiedliwienie i argumentacja. A więc zanim dotkniemy argumentacji, powinniśmy zobaczyć świat, do którego ona się odnosi.)

Jaka jest zatem ta niejednoznaczność świata przedstawionego w *Czasie niedokonanym*?

Przede wszystkim, jednoznaczność oceny politycznej jakiegoś zjawiska nie idzie w parze z jednoznacznością waluacji osób. W książce występują oczywiście skończone szuje, ideologiczni kaci, podli kombinatorzy. Są też żałujące kapusie. Ale to jeszcze nic. Prawdziwą zagwozdką są dwa pokolenia Broków, które budowały Polskę zwaną ludową, Adam i Benedykt. Pierwszy, wykształcony na psychoanalizie intelektualista, wierzący a potem rozczarowany komunista. Porzucenie dwóch perspektyw i odejście od dwóch wiar: tej freudowskiej i tej marksowskiej, nie czyni jeszcze z niego bohatera i wzoru. Ale, po pierwsze, jego los jest jakimś kluczem do zrozumienia dwudziestowiecznej historii. Nie tyle był bowiem ideologiem, co polem ćwiczebnym idei dwudziestowiecznych. To na jego ojcu dokonano owego mordu założycielskiego tej historii, co wskazuje na istotny związek między życiem a psychoanalizą w *Czasie niedokonanym*.

Następne pokolenia Broków będą więc żyły w cieniu tego aktu. Ten początek dwudziestowiecznego koszmaru Żydów będzie powracał w snach, ale nie to chyba jest najważniejsze. Ważne będą wybory, których Brokowie dokonają dalej i wreszcie samoświadomość, która stanie się ich rezultatem.

Ocena Broków nie jest jednoznaczna, bo choć nie mamy wątpliwości, że autor sam stoi po drugiej stronie, że jest wśród tych, których stanowczość w sprzeciwie wobec PRL miała charakter żarliwy i radykalny, że politycznie bliżej mu do żony głównego bohatera, to jednak trudno powiedzieć, by nie chciał zrozumieć reżimowego dziennikarza i by pochwalał w pełni życie jego opozycyjnej małżonki, jej zdrady, domowe uniesienia i ucieczki w alkohol.

Czy tę historię można opowiedzieć w sposób jednoznaczny? O tak! Można sobie wyobrazić kobietę, która nie tylko dzielnie sprzeciwia się reżimowi, ale i jest wzorem matki-Polki, współczesną świętą męczennicą. Można sobie wyobrazić, że Benedykt jest nie tylko dziennikarzem zaprzędanym władzy, ale też człowiekiem bez sumienia, głuchym na prośby i bijącym żonę za każdym razem, gdy ta wraca z demonstracji. Tak, to wszystko możemy sobie wyobrazić, taką książkę pomnik i hagiograficzną pochwałę pokolenia solidarności i obrońców PRL. Z jakichś przyczyn Bronisław Wildstein jednak takiej powieści nie napisał. Wszystko pokomplikował. Dlaczego?

Pierwsza sugestia jest oczywista: było tak, jak to opisał. Żywych ludzi nie da się zamknąć w prostych schematach, w naszych wyobrażeniach, choćby najpiękniejszych i najbliższych publicystycznej tezie. Faktem są dramaty rodzinne środowisk opozycyjnych, szlachetne odruchy komunistów, skomplikowane sytuacje. A więc tak było, ale to jeszcze nie jest najważniejsze, ponieważ książka Wildsteina nie powstała jako dokument, ale powieść, której zadaniem jest zrozumieć świat przedstawiony, postawić właściwe pytania i naszkicować możliwe odpowiedzi.

A zatem sugestia druga: tak napisał, by pokazać złożoną strukturę świata. Nie chodzi więc już tylko o złożoność konkretnych sytuacji i konkretnych losów, ale skomplikowanie samej rzeczywistości i jej konstytutywnych elementów.

Takim punktem łączącym odrębne elementy i komplikującym proste schematy – tym, co zaburza jednolitą narrację – są dwie sytuacje graniczne: śmierć i miłość. Najważniejsze wyznania w tej książce padają na łożu śmierci. To na nim Adam Brok opowiada synowej o swoim życiu i w ten sposób zostaje zadzierzgnięta więź między starszym pokoleniem Żydów a nowym pokoleniem Polaków z antykomunistycznych domów. Zostaje przekazana wiedza. To w obliczu śmierci bohaterowie Wildsteina porzucają ideologiczne kalki. Lub jeszcze lepiej: wypowiadają to, co gromadziło się w nich przez lata, to całe skumulowane doświadczenie, które jest najlepszym weryfikatorem ideologicznych schematów.

Druga sytuacja graniczna, czyli miłość. Gdyby była pochodną ideologicznych podziałów, nie doszłoby do małżeństwa Zuzanny i Benedykta, nie byłoby nocnego uspokajania męża, nie byłoby młodego Adama i wreszcie nie miałyby miejsce to całe zmaganie o uratowanie małżeństwa, które wprawdzie skończyło się klęską, ale pozostawało faktem.

Ani sytuacje śmierci, ani miłości nie są – jak napisaliśmy wyżej – pochodną wyznawanych ideologii, a jednak jedne i drugie pozostają w ich cieniu. Ideologie je komplikują, aksjologiczne pomieszanie świata, które ma swoje źródło w rewolucyjnych konwulsjach, sprowadza niepotrzebną śmierć i równie niepotrzebne rozstania. Z drugiej strony, to właśnie śmierć i miłość sprawiają, że ideologie nie realizują się tak, jak chcieliby tego ich twórcy.

By przypomnieć słynną metaforykę Edmunda Burke'a, światło na ziemi ulega licznym załamaniom, jego promienie nigdy nie pozostają proste, stąd idee nigdy nie znajdują doskonałego przełożenia na rzeczywistość.

Te załamania pozostają jednak poza kontrolą samych twórców. Świat wymyka się im spod kontroli, co ma swoje złe i dobre strony.

Tekst pierwotnie ukazał się w 60. numerze Frondy